

Jesteśmy od wszystkiego

Ta praca to loteria. W jednej chwili jesteś przedszkolanką, która zajmuje się przestraszonymi dziećmi, w innej – budowlańcem, który przekopuje tonu piasku, żeby wyrównać chodnik, a w jeszcze innej: tłumaczem przysięgłym, opiekunem zwierząt, jasnowidzem, informacją turystyczną albo pogodynką. A do tego, przez cały ten czas, odpowiadasz jako ratownik za cudze życie.

Czerwiec 2019 – po ponad dziewięciu godzinach w pociągu, grubo spóźniony docieram do Gdańska. Na przystani jestem po dziesiątej, ale bosmanowi to nie przeszkadza - sezon dopiero się zaczyna.

Przystań, nowoczesny budynek na Stogach, stoi tuż nad Martwą Wisłą. Największe wrażenie robi przeszklona klatka schodowa. W ciągu następnych miesięcy zdążę ją serdecznie znienawidzić. Słońce zamieniało ją w saunę.

Bosman Marek, jest ode mnie ledwie trzy lata starszy. To jego pierwszy rok na tym stanowisku. Mówi, że nie ma na co narzekać. Opowiada mi o tym, jak zimą Martwa Wisła zamarza i można po niej jeździć na łyżwach.

Dostaję miejsce w czteroosobowym pokoju – jest ciasno, ale czysto. Mam łazienkę z prysznicem. Nie wszyscy mają na tyle szczęście. Ratowników w Polsce raczej nie dziwią rozpadające się i pleśniejące domki letniskowe, stare przyczepy kempingowe bez dostępu do bieżącej wody i prądu. Kolejna rzadkość: w umowie mam kilka dni wolnego, mogę brać urlopy na żądanie. Większość z nas pracuje na „śmieciówkach”, dzień w dzień, od pierwszego do ostatniego dnia sezonu, bez możliwości wzięcia urlopu, a w razie wypadku – szukając zastępstw na własną rękę.

Na przystani mieszka kilkanaście osób, większość to Ukraińcy, którzy do Polski przyjechali niedawno. Artem Młodszy, Artem Starszy, Żenia, Ania, trzydziestoparoletni Siergiej, Edward, Olga z ośmioletnią córką i Sebastian – chłop z Podlasia, który w tym sezonie zostanie kierowcą quada.

Artem Młodszy ma osiemnaście lat. Kurs na ratownika zaczął robić niedawno, tu w Gdańsku. Żenia jest od niego rok starszy. Za niecałe dwa tygodnie wyciągną z wody swojego pierwszego trupa. Żenia, student medycyny z Kijowa, który regularnie bywa w kostnicy, powie

wtedy: trup to trup.

Artem Starszy ma dwadzieścia dziewięć lat. Jak prawie wszyscy Ukraińcy na przystani, mieszka w Polsce od niedawna. Najdłużej w Polsce mieszka Ania. Mówi, że nie może doczekać się pracy jako ratownik. Do tej pory pracowała jako kelnerka, sprzątaczką i pokojówką. Opowiada mi, że ze względu na pochodzenie zawsze miała w pracy najciężej. Wmawiano jej, że Ukrainki nadają się tylko do sprzątanego i zmywania. Mimo to nie jest rozgoryczona, cieszy się, że może podjąć nową, lepiej płatną pracę.

Krótko lekcja geografii i gramatyki

Orle to kąpielisko na Wyspie Sobieszewskiej – do miasta daleko. To może być zarówno zaleta jak i wada. Na plaży głównie starsi ludzie albo rodziny z małymi dziećmi. Młodzieży na Orle nie mam praktycznie wcale.

Orle to środkowe kąpielisko na Wyspie Sobieszewskiej. Dwa i pół kilometra na zachód od nas jest Sobieszewo i cywilizacja – mają quada i swojego medyka. My dostaliśmy za to dodatkową motorówkę. Świbno, wysunięte najdalej na wschód, ma ratowniczego *surfa*.

Jesteśmy odpowiedzialni za sprzęt, który dostaliśmy. To nie są tanie rzeczy. Torba Ratunkowa *PSP RI* z wyposażeniem może kosztować nawet pięć tysięcy złotych.

Jak poprawnie odmieniać „Orle”?

Logika nakazuje traktowanie zwrotu „Kąpielisko Orle” tak, jak traktowalibyśmy np. „orle gniazdo”. W takim wypadku powinno się mówić: „u nas na Orlim” .

Jednak na wyspie mówi się, że jest się na „Orlu” i tej formy zamierzam używać.

Szymon

Na miejscu rządzi starszy ratownik – Szymon. *Starszy*, to ktoś na wzór szefa kąpieliska. Szymon ma dwadzieścia pięć lat. Jest szczupły, nosi lekko zaniedbaną brodę, którą często przeczesuje palcami. Wygląda niepozornie, ale wiem, że musiał się wykazać, żeby zostać *Starszym* w takim miejscu, bo tej funkcji nie dostaje się przypadkiem.

— Cała wyspa to zdradliwe. Zazwyczaj nic się nie dzieje, przez większość czasu jest tak, jak dzisiaj – pięknie i spokojnie. Ale kiedy już coś mamy, to jest ostro. Rozpierdol. Nie straszę, ale chcę być z wami szczerzy, żebyście byli gotowi. – rzuca na powitanie.

– I nie zapominajcie, że szczur to wasz przyjaciel. Ma być przygotowany, w zasięgu ręki. Żadne sznurki nie mogą wystawać. Szczur to wasz przyjaciel, zapamiętajcie.

Szczur to zasobnik z liną, która na końcu ma szelki. Tej liny mieści w sobie całe osiemdziesiąt metrów. Nad morzem praktycznie nie ma sprzętu, który przydaje się bardziej, niż zasobnik.

Wyjątkowo jest nas dzisiaj czterech. Zazwyczaj musimy radzić sobie we trzech, a wtedy robi się ciężko. Co chwilę podchodzą do mnie rodzice z dziećmi. Rozdają im opaski, na których mogą zapisać imię dziecka i swój numer telefonu. Cieszę się, że z tego korzystają.

Starszy woła przez radiostację. Potem wręcza mi łopatę. Mówi, że musimy przekopać płyty chodnikowe, żeby ludzie nie robili sobie krzywdy, chodząc po nich boso.

— To w naszym interesie, żebyśmy mieli mniej roboty. — rzuca.

Jest ponad trzydzieści stopni w cieniu, nadchodzi fala największych upałów, a my w pełnym słońcu, przez dwie godziny przekopujemy wielkie bloki twardego plastiku. W międzyczasie pani Ewa, która zajmuje się toaletami, zwraca Szymonowi uwagę, że trzeba opróżnić jej szambo i prosi, żeby się tym zajął. Szymon wzdycha ciężko.

Naprawdę jesteśmy tu od wszystkiego.

Pan Kilometr i Szeryfowie

Pan Kilometr, emeryt, jest niski, ma krótkie, siwe włosy i piwny brzuszek. W młodości był marynarzem, a w przerwach między rejsami wybudował w Gdańsku kilka domów i teraz przyjeżdża tu na wakacje. Przychodzi prawie codziennie, zawsze bierze ze sobą klapki, ręcznik i podkoszulek. Codziennie przepływa kilometr, dwadzieścia długości, od środkowej do prawej bojki. Nigdy inaczej. Więcej naraz nie przepłynie, mimo że czasami by chciał: żona na mnie czeka i i martwiłaby się, gdybym za długo nie wychodził z wody – mówi z uśmiechem.

Szeryfów na plaży mamy dwóch, przychodzą na zmianę. Pani Ewa i pani Danusia zajmują się toaletami, pobierają opłaty. Dwa złote albo pół euro. Ludzie skarżą się, że dwa złote i pół euro to wcale nie to samo, ale większości narzekających i tak nie robi to różnicy. Swoje potrzeby załatwiają w wodzie, na wydmach albo po prostu na plaży.

Pani Ewa jest na emeryturze. Do pracy przychodzi z psem, kilkunastoletnim yorkiem Lolkiem, choć na plaży jest zakaz wprowadzania psów.. Lolka nikt nie pilnuje, całymi dniami chodzi po plaży, a kiedy się zmęczy kładzie się w cieniu obok swojej właścicielki. Jego właścicielka ma także dorosłego syna, którego bardzo kocha, ale i ma mu za złe, że znalazł sobie żonę, która „nie potrafi się w życiowo ogarnąć”.

— Obiadu nie robi, na zakupy nie pójdzie. — opowieści Pani Ewy zawsze schodzą na temat jej synowej..

Z kolei problem pani Danusi to biodra. Nie za bardzo może chodzić, dlatego zawsze czeka na przystanku, a my zabieramy ją po drodze. Skarbeński moje - zwraca się do nas z czułością.

— Skarbenki moje. – mawia.

W naszej bazie co noc zostaje ochroniarz. Za każdym razem, kiedy wychodzimy, życzymy mu spokojnej nocy. Z reguły nic się nie dzieje. Cały nasz sprzęt zamykamy na noc w garażu, a łódkę przypinamy do wieży łańcuchem z kłódką. Zresztą, kto chciałby kraść niemal stukilogramową łódź bez wiosła?

To widać, kiedy jest pogoda na trupa.

(28 czerwca)

— Wczoraj było mocno, cały dzień mieliśmy czerwoną. Była taka fala, że bałem się *wypłynąć na wiosła*, bo od razu miałbym *grzyba* – mówi ktoś, między kęsami kanapki i łykami kawy. Jest ósma, siedzimy w kuchni i jemy śniadanie. Za pół godziny wyjeżdżamy do pracy.

Grzyb jest wtedy, kiedy łódka obróci się do góry dnem. Zazwyczaj dzieje się to przy dużej fali i silnym wietrze. Mało kto potrafi postawić ją z powrotem w wodzie.

Zazwyczaj kończy się to zgubieniem wiosła. W skrajnych przypadkach można dostać rozhuśtaną przez fale łódką w głowę.

- Ja bym chciał spróbować – wtrącam.

- Nie chciałbyś – odpowiada ktoś inny.

Kiedy docieramy na miejsce, orientuję się, że mieli rację.

Wieje z północy, piątka w skali Beauforta. Fala ma grubo ponad metr. Woda jest biała i huczy. Mimo to jest gorąco.

Nikt nawet nie myśli o wywieszeniu białej flagi.

Wprawdzie czerwona to zakaz kąpieli, ale to nie znaczy, że nie jesteśmy w pracy.

Szymon przeczesuje brodę palcami. Szuka słów. Odzywa się dopiero po chwili.

- Kiedy są duże fale i jest gorąco, ludzie chcą wejść do wody. Zazwyczaj jak najdalej od kąpieliska. Nie chcą, żebyśmy ich upominali. Będą wam mówić, że psujecie im urlop. Dlatego dzisiaj nie ma żadnych ćwiczeń, szczer musi być gotowy cały czas. W taki dzień jak dzisiaj coś musi się stać, to widać, kiedy jest pogoda na trupa.

Tego samego dnia na plaży w Brzeźnie ginie dwóch nastolatków. Weszli do wody poza strzeżonym kąpieliskiem. Ciało jednego z nich Żenia i Artem Młodszy wyławiają po około czterdziestu minutach od zaginięcia. Mimo prowadzonej reanimacji, szesnastolatek umiera kilka godzin później w szpitalu. Dryfujący w wodzie siedemnastolatek zostaje zauważony

dopiero przez helikopter. Wyławiają go po czterech godzinach poszukiwań i reanimują. Umiera.

Autopilot

(29 czerwca)

Dzień później jest znacznie goręcej i wieje trochę słabiej.

W zastępstwie za Szymona naszym *starszym* jest Krzysztof - lekko po pięćdziesiątce, w ratownictwie pracuje trzydziesty piąty sezon. Był górnikiem i pod ziemią nauczył się, że porządek jest bardzo ważny, dlatego na jego zmianie wszystko musi być poukładane.

Decyduje się wywiesić białą flagę. Mówi, że jeżeli coś się stanie, to będziemy mieli akcję bliżej nas. Lepsze to niż biec do niej pół kilometra. Musielibyśmy biec, bo nie mamy quada. Ten jest na Sobieszewie, około dwa i pół kilometra na zachód.

Z Krzysztofem pracuje się dobrze. Mówi bardzo dużo, właściwie cały czas próbuje nas czegoś nauczyć. Począwszy od sposobu rozkładania parawanów, na czyszczeniu sprzętu kończąc. Każdemu przyporządkowuje określone role – tak na wszelki wypadek.

Do południa jest spokojnie.

Nagle ludzie z lewej strony zaczynają krzyczeć. Nawet nie wiadomo co się dokładnie dzieje. Ich krzyki docierają do nas jak meksykańska fala. Wyławiam pojedyncze słowa: „ludzie toną”, „ratunku”, „dzieci”, „daleko”.

Julia, tak samo nowa jak i ja, w jedną dłoń chwyta radio, a w drugą bojkę ratunkową. Chwytam *szczura* i biegnę za nią. Krzysztof musi zostać na miejscu, żeby zrzucić flagę i pokazać, że kąpielisko jest zamknięte. Takie są przepisy.

Prowadzi mnie mężczyzna, popędza mnie.

Dyszę: Na miejscu pan usiądzie na dupie, a dla mnie dopiero się zacznie.

Zrozumiał, zwalnia.

Gdzieś między falami dryfuje grupka ludzi. Pięć osób, może więcej. Z tej odległości trudno to ocenić, zwłaszcza, że co chwilę zakrywają ich fale.

Wyłączam się, jestem na autopilocie. Mam zadanie do wykonania.

Wbiegając do wody zakładam na siebie *szczura*. Chyba się nie boję. To pewnie dlatego, że po drugiej stronie *szczura* zawsze ktoś jest. Nieważne, co by się nie stało, ja wrócę na brzeg.

Rzucam się w fale – wieje z zachodu, więc płynę pod wiatr. Tak uczył mnie Krzysztof. Gdybym płynął prosto na nich, zwałoby mnie i musiałbym walczyć z wiatrem i z falą. Nie potrafię wyczuć głębokości. Mam wrażenie, że raz mam pod sobą pół metra, a w innym miejscu dwa. W każdym razie czuję się, jakbym płynął przez kisiel. Docieram. Troje dzieci na

dmuchanym materacu i czterech mężczyzn w wodzie. Dwaj z nich walczą o utrzymanie się na powierzchni. Pozostali ogromnym wysiłkiem pomagają im, walczą z falą, wiatrem i próbują powstrzymać uciekający materac. Zaczynam od starszego człowieka. Muszę go podjąć, bo stanowi największe zagrożenie dla reszty. Daję sygnał ręką, lina napręża się i zaczyna ściągać nas do brzegu.

Całą drogę walczę o to, żeby nie zejść pod wodę. Nie jest łatwo, kilka razy desperacko próbuję odbić się nogami od dna. W końcu czuję, że szoruję plecami po piasku. Podnoszę rękę. Ludzie z plaży przybiegają i łapią mężczyznę pod rękę. Wyciągają go na brzeg.

Udaje mi się wstać, ale kręci mi się w głowie. Czuję krew w gardle. Muszę skakać jeszcze raz – tam w wodzie dalej są ludzie.

W międzyczasie ktoś co prawda wyciągnął na brzeg materac z dziećmi, ale w wodzie jest jeszcze dwóch.

Fale co chwilę sprawiają, że mężczyźni znikają mi z oczu. Wiatr wieje teraz w drugą stronę i znosi mnie z dala od nich. Mijam ich o kilka metrów i muszę nadrabiać dystans. Widzę w wodzie pomarańczową bojkę – to Krzysztof. Zdażył już dobiec z plaży. Podejmuje ich i wracamy na brzeg. Starszy mężczyzna majaczy, co chwilę próbuje odwrócić się na plecy. Powstrzymujemy go. Jego żona płacze, jest roztrzęsiona. Płaczące dzieci tulą się do płaczącej matki. Drugi mężczyzna leży na piasku, nie ma siły, żeby się podnieść. Próbuje wymiotować – bezskutecznie.

Próbuję go uspokoić, ale sam chciałbym rozplakać się jak dziecko.

Przyjeżdża quad z Sobieszewa, podajemy poszkodowanym tlen. Młodszemu z mężczyzn zakładamy rurki, tzw. *wąsy*, które podają tlen prosto do nosa. Starszy mężczyzna życzy sobie maskę, ale zrywa ją co chwilę, próbując odkaslnąć wodę. Nie udaje mu się. Wstrząśnięta żona tłumaczy, że miał operację na refluks i że nie da rady wykrztusić wody z płuc.

Na miejsce przyjeżdżają ratownicy medyczni, nasza rola się kończy.

Z powrotem otwieramy kąpielisko, choć ludzie i tak siedzą w wodzie mimo braku flagi.

Kilka godzin później rodzina przychodzi podziękować.

W ciągu następnych kilku dni rozgłos zdobędzie człowiek, który wyciągnął materac z dziećmi, policjant, który w efekcie zostanie dzielnicowym roku, dostanie nagrodę od Komendanta Głównego Policji i prezydenta Sopotu.

W telewizji, kilka dni później, ojciec będzie dziękować mu za uratowanie dzieci. Dziadek również podziękuje za uratowanie mu życia.

O nas nikt nie wspomni nas ani słowem.

Arbuzowy Krzysztof

30 czerwca

Piasek parzy w stopy tak mocno, że praktycznie nie da się chodzić. Wiatr właściwie nie wieje, zacienionego miejsca, w którym moglibyśmy się schować też nie ma. Żeby się schłodzić, chodzę pod prysznic u ubraniach. Koszulka, z której cieknie woda, schnie w dwadzieścia minut.

Krzysztof, nasz Starszy, bierze do ręki radio:

- Sobieszewo, zgłoś do Orla.
- Sobieszewo, zgłaszam do Orla – odpowiada radio.
- Tomku, można prosić komunikat meteo?
- Zaraz sprawdzę, poczekaj.

Na Sobieszewie mają własną stację meteo, dlatego nie musimy opierać się na prognozach z internetu.

- *Temperatura: trzydzieści pięć, reszta bez zmian.*

Trzydzieści pięć stopni w cieniu.

Kilka godzin później pierwszy raz czuję, że z gorąca robi mi się ciemno przed oczami. Idę do kontenera i wyciągam z lodówki połówkę arbuza. Biorę ją ze sobą i zjadam na stanowisku.

Jedzenia arbuza łyżką na stanowisku nauczyłem się od Krzysztofa (młodszeo). Krzyś (tak, dla rozróżnienia, będę go nazywał, mimo że jest ode mnie starszy), to weganin-kulturysta, który w wolnych chwilach staje na rękach, albo robi salta w tył. Kiedy pozwala na to pogoda, wiosłując potrafi przepłynąć kilka kilometrów, wzdłuż granicy kąpieliska. Jest orędownikiem *wiosłowania z pleców*. Angażowanie mięśni pleców bardziej niż bicepsa i tricepsa sprawia, że wiosłowanie jest bardziej efektywne i mniej męczące (ta wiedza przyda mi się ponad miesiąc później, kiedy przy silnym południowym wietrze co chwilę będziemy ściągać na brzeg ludzi dryfujących na materacach).

W słoneczne dni Krzyś nie nosi zegarka ani okularów przeciwsłonecznych, bo to powoduje nierównomierną opaleniznę.

Na co dzień Krzyś pracuje jako *starszy* na kąpielisku w Jelitkowie. Nie narzeka. Współczuje jednak ratownikom pracującym na Brzeźnie. Mają tam kamery skierowane na stanowisko i *starszego*, który siedząc w swojej budce podgląda ich na monitorach i upomina przez radio.

Witajcie w naszej bajce

(Nowe Siołkowice, lipiec 2019)

W lipcu pracujemy na kąpielisku w Nowych Siołkowicach, wiosce w województwie opolskim. Jest nas troje, Mateusz, Julia i ja. Wszyscy mamy po dziewiętnaście lat. Nie ma wśród nas *starszego*.

Na miejscu stoi drewniany domek, konstrukcja o wymiarach około pięć na pięć metrów.

Rok wcześniej było jeszcze gorzej - mieszkaliśmy w starej przyczepie kempingowej. Nie mieliśmy dostępu do bieżącej wody. Kiedy chcieliśmy chociażby umyć naczynia, musieliśmy chodzić do kranu, znajdującego się po drugiej stronie plaży. Ten sam kran to był także nasz prysznic. Żeby się pod nim umyć, trzeba było przykłęknąć, bo kran znajdował się na wysokości pasa. Stał na nieutwardzonej ziemi, bez jakiegokolwiek odpływu wody, dlatego każda kąpiel kończyła się brodzeniem po kostki w błocie. Woda oczywiście zimna.

Z prądem było podobnie - gniazdko znajdowało się na drugim końcu plaży. Nie służyło nam wyłącznie w celu ładowania naszych prywatnych urządzeń. Zasilaliśmy prądem także nasze radiostacje, z których korzystaliśmy w czasie pracy. Po pracy musieliśmy ich pilnować, bo to my braliśmy za nie odpowiedzialność. Tak jak za resztę sprzętu.

Nad morzem zatrudnia się ochroniarzy. W Nowych Siołkowicach do przyczepy nie trafiał razem z nami tylko ten sprzęt, którego nie dało się upchnąć, np. deska, która była „ratunkową” tylko z nazwy. Nie miała uchwytów. Wypadał z niej statecznik, czyli element, który pomaga utrzymać kurs. Brakowało jej wyporności i była chybotliwa. Na spodniej części miała zamalowany niebieską farbą napis „OFFICE” i wyglądała, jakby wcześniej była elementem dekoracyjnym.

Lato 2019

Teraz jest budka i monitoring. Budka nie jest izolowana, ma czarny dach. W upał jest w niej ze czterdzieści stopni, a jeżeli w nocy temperatura spada poniżej dziesięciu stopni, w środku jest równie zimno.

Nie mamy też gdzie spać. Na kąpielisku pracuje troje ratowników, a łóżka są tylko dwa. Musieliśmy improwizować. Z boisk do siatkówki, które znajdują się tuż za domkiem, ukradliśmy trzy materace, które normalnie przyczepia się do wieżyczek sędziowskich. Teraz,

ułożone jeden na drugim, służą jako trzecie łóżko.

Poza tym mamy jeden, plastikowy stolik i trzy krzesła, a prysznic bierzemy w błocie po kostki

Ostatecznie większość mebli (czyli łóżko i imitujące szafki, stare, szkolne ławki) pojawi się w połowie lipca. Lodówki nie będzie do końca sezonu.

Ludzi w takiej sytuacji jak nasza w Polsce są setki, jeśli nie tysiące.

Sinice? Jakie sinice?

Jeziro w Nowych Siołkowicach ma po przekątnej około czterysta metrów. Dla porównania, to mniej więcej tyle, ile długości mają OOCL United Kingdom, albo MSC Gulsun, czyli największe kontenerowce na świecie, które wpływają do portu w Gdańsku. Tam, czterysta metrów to punkt na horyzoncie, tutaj to właściwie wszystko, co mamy. Jest stosunkowo płytkie - w najgłębszym miejscu raptem cztery metry. Plusy? Woda nagrzewa się szybko. Minusy? Woda nagrzewa się za szybko. Ostatniego dnia czerwca pojawia się zielony zakwit. Ratownicy muszą zamknąć kąpielisko, a próbki wody przekazać do zbadania sanepidowi. Przez pierwszy tydzień lipca kąpielisko jest nieczynne, mimo że zielonego zakwitu już nie ma.

Oni nic nie robią, a pieniędzy to by chcieli.

Pierwsze dni lipca sprowadzają załamanie pogody. Mimo, że kąpielisko jest już otwarte, ludzie nie przychodzą się kąpać. Budki gastronomiczne stoją zamknięte, nie opłaca się ich otwierać. Wszyscy liczą straty.

Nieliczni, którzy przychodzą, żartują, że mamy pracę marzeń. Mówią, że oni też chcieliby całymi dniami siedzieć i nic nie robić. I żeby ktoś jeszcze im za to płacił.

A to wy sami to zróbcie.

(7 lipca)

Pod wiatą, na prawo od plaży siedzi czterech mężczyzn. Krzyczą i śpiewają po rosyjsku. Piją - na stoliku szesnaście mocnych piw, ustawionych w estetyczny kwadrat. Do tego zero siedem taniej whisky.

Gdy nas zauważają – cieszą się. Proponują, żebyśmy się z nimi napili.

- Tu nie wolno pić. Taki regulamin – tłumaczymy. Wszyscy wiemy, że sprawa skończy się wezwaniem policji.

Mężczyźni zaczynają być coraz bardziej agresywni wobec nas i siebie nawzajem. Idę po telefon.

- Oni przyjechali samochodem – rzuca kobieta, która musiała się nam przyglądać.

Dzwonię na policję.

— Jestem ratownikiem, na kąpielisku w Nowych Siołkowicach. Czterech mężczyzn pod wpływem alkoholu przebywa na terenie kąpieliska. Istnieje podejrzenie, że będą chcieli wracać samochodem. Škoda Felicia. – żeby rozpoznać model, muszę się mocno postarać. Po literkach pozostał już tylko ślad w postaci kurzu, który osiadł na resztkach kleju – Stara, tak z dwadzieścia lat ma. Jest na czarnych blachach. Dyktuję numery rejestracyjne. Kolor? Coś pomiędzy zielonym, a niebieskim. Nie wiem, do cholery. Niech będzie lazurowy. Dobrze, dziękuję. – zgłoszenie zostaje przyjęte.

Najmniej pijany z całej czwórki orientuje się, że niedługo będą mieli kłopoty. Mówi coś do drugiego i ruszają w stronę auta.

Oglądałem dziesiątki filmików o tym, jak ludzie w przyływie emocji wyrwali pijanym kierowcom kluczyki do samochodów. I co z tego? Teraz ja stoję naprzeciw niemal o głowę wyższego ode mnie, barczystego faceta, który jednym uderzeniem sprawiłby, że zapomnę imienia i nazwiska.

Mateusza i Julia w tym czasie próbują powstrzymać pozostałą dwóch, którzy idą ledwie, ale za to konsekwentnie w kierunku wody.

W przyływie desperacji proszę o pomoc Curry Imbisa – tak nazywamy faceta, który ma tu budkę z jedzeniem. Miejscowi mówią, że kiedyś był gangsterem.— Wezwaliście policję, to wystarczy – mówi.

—Przecież oni zaraz odjadą. Pijani. Trzeba im zabrać kluczyki. Chodź! - krzyczę.

— A to już sami musicie to zrobić, to na własną odpowiedzialność – odpowiada i odwraca się plecami.

Tyle mi z całej jego gangsterskiej legendy zostało.

Samochód odpala. Kierowca próbuje wycofać. Jest tak pijany, że nie potrafi wbić wstecznego. Zamiast tego przejeżdża pół metra do przodu. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Za każdym razem coraz bardziej zbliża się do rowu. Mam nadzieję, że w końcu do niego wpadnie. Za piątym razem udaje mu się wrzucić wsteczny. Wyjeżdża i ustawia się na drodze. Od wjazdu na kąpielisko do asfaltowej drogi jest jeszcze około kilometr szutrówki. Kiedy ustawia się do wjazdu, zatrzymuje się obok mnie. Pukam w szybę.

- Nie zabierzesz ze sobą kolegów? -pytam.

Wzrusza ramionami.

- Nie bądź głupi. Im szybciej po nich pójdziesz, tym szybciej stąd pojedziecie – dodaję.

Wcale nie chcę, żeby odjechali. Po prostu gram na czas. Kiedy wychodzi z samochodu, dzwonię na policję drugi raz.

— To znowu ratownik z Nowych Siołkowic. Ci mężczyźni próbują odjechać.

— Dobrze, dziękuję, patrol już jedzie.

Policja przyjeżdża po czterdziestu minutach od pierwszego wezwania. Najpierw legitymują nas, ratowników. Potem zabierają dokumenty temu, który prowadził. Badają go alkomatem. Nie wiem, ile wydmuchał.

Żeby uznać, że prowadził pod wpływem alkoholu, muszą obejrzeć nagranie z monitoringu. Serwer znajduje się w naszej budce, w zamkniętym pomieszczeniu. Nie mamy do niego dostępu. Dzwonimy po przedstawiciela urzędu gminy. Pojawia się na miejscu po około dziesięciu minutach.

W ciągu tych dziesięciu minut, mężczyzna, który stracił o prawo jazdy, zaczyna się niecierpliwić. Chce wracać na piechotę. Awanturuje się. Policjanci skuwają mu ręce.. Jest jeszcze gorzej.

Prosimy ich, żeby trzymali go z dala od naszej budki. Nie chcemy, żeby wiedzieli, gdzie mieszkamy. W pewnym momencie wpada jednak do środka. Policjant łapie go w ostatniej chwili.

Policjanci oglądają zapis z monitoringu i zabierają faceta na komendę. Dwoje z nas też musi jechać złożyć zeznania. Na miejscu zostaje jeden ratownik, musimy zamknąć kąpielisko.

Najbardziej szkoda mi chłopca, który płacze, bo nie rozumie dlaczego nie może się kąpać.

Zabieracie moim dzieciom zabawę

Ludzie uważają, że kąpielisko, które otworzyliśmy, jest za małe. Niektórzy twierdzą, że zrobiliśmy to dlatego, że nie chce nam się pracować: Co ta czerwona bojka tak blisko, moje dzieci nie mają gdzie pływać .

Niektórzy są zdecydowanie bardziej bezpośredni:

- Jak dajecie te bojki tak blisko, to co się dziwicie, że moje dzieci przez nie przechodzą. Ja im nie będę zabraniał dobrze się bawić.

A my przy czerwonej bojce – musimy mieć metr dwadzieścia, a za nią 130 cm głębokości na przestrzeni kilku metrów. Dziecko w wodzie podskakuje, traci bezwiednie przesuwa się w

stronę głębszej wody, w końcu traci grunt. Rodzice zazwyczaj tego nie widzą, są zajęci swoimi sprawami.

Zazwyczaj wszystkie takie akcje z dziećmi wyglądają tak samo. W większości przypadków się udaje, wchodzimy do wody jeszcze zanim dziecko orientuje się, że traci kontrolę. Wtedy i tak niektórzy twierdzą, że lepiej pozwolić maluchowi stracić kontrolę przynajmniej na moment, bo tylko wtedy się czegoś nauczy. Ja mam dosyć widoku przestraszonych dzieci i trzęsących się rodziców.

Są takie przypadki, w których rodzice mają do nas pretensje. Twierdzą, że niepotrzebnie wyciągnęliśmy ich dzieci z wody, bo przecież nic się nie działo.

Teoretycznie powinniśmy wtedy zadzwonić na policję, bo rodzice nie dopełniają swoich obowiązków. W praktyce, nie ma na to czasu.

„Ja bym to na chuju przepłynął”

Są ludzie, którzy myślą, że będziemy z nimi rozmawiać, tylko dlatego, że nudzi nam się w pracy. Często zdarza się, że próbują nam udowodnić, że są od nas lepsi.

— Do dupy te liny rozłożyliście, ja bym to na chuju przepłynął.

Wygląda na około pięćdziesiąt lat, ale równie dobrze może mieć trzydzieści. Ma na sobie zniszczone ubranie wybrudzone tynkiem i farbą. Na twarzy szczecina i kilka strupów po ostatnim goleniu. Cuchnie od niego alkoholem. Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć, mówi dalej:

— Synek, byłeś kiedyś nad morzem? Ja jestem marynarzem, byłeś kiedyś nad morzem?

Pukam palcem w daszek. Na głowie mam ratowniczą czapkę z Gdańska, bo pracodawca w Opolu nam takiej nie zapewnił.

Facet mruży oczy, ma problemy z przeczytaniem jednego słowa. Kiedy zbliża twarz do mojej, już wiem, że to był błąd..

— Byłem nad morzem – odpowiadam.

— To dobrze, że byłeś, ja też byłem. Jestem marynarzem, dobrze pływam. Za małe to zrobiliście.

Milczymy przez chwilę. Wreszcie odwraca się, wsiada na rower i odjeżdża.

„Zróbcie z tym coś”, czyli dalej jesteśmy od wszystkiego.

Słoneczne, weekendowe popołudnie. Jest osiemnasta, za godzinę zamykamy. Fala

największych upałów już minęła, ale na plaży dalej mamy mnóstwo ludzi.

Do wody wbiega pies myśliwski, niemiecki wyżeł szorstkowłosy. Skacze dookoła dzieci, szczeka, chce się bawić. Ludzie wybiegają z wody, a my próbujemy opanować sytuację i znaleźć właściciela, nie odchodząc od wody.

Jedno z nas przywiązuje psa do balustrady tuż przy naszej budce. Dajemy mu wody i liczymy na to, że jakoś wytrzyma tę godzinę do końca zmiany.

Wytrzymuje bez większych problemów. Jest posłuszny i ułożony.

Znalezienie właściciela nie jest łatwe. Nikt się do psa nie przyznaje, nikt nie domyśla się, czyj może być.

Wzywamy miejscowego leśniczego – jest po dwóch godzinach.

Żeby nie było, że było tylko źle

W wolnych chwilach robiliśmy wycinanki ze starych gazet i opakowań po ryżu, które potem wyklejaliśmy na ścianach i poprawialiśmy sobie nimi humor. Nad prowizoryczną kuchenką wisiał kartonik z napisem „słodko jest się dzielić”, który Mateusz dostał po tym, jak oddał krew. Na lewo od niego, pod wyciętym z gazety zdjęciem spacerujących mężczyzn w cylindrach wisiał napis „ryżowego dnia!”.

Ratownicy na piachu

(Gdańsk, sierpień 2019)

Najszybszy awans w historii Kąpielisk Morskich.

W sierpniu Starszym na Orle jest Michał. Ma dwadzieścia jeden lat, to jego pierwszy sezon jako Starszy. Wcześniej był szeregowym ratownikiem na plaży na Stogach. Mówią, że się tam sprawdził i dlatego w tym sezonie wysłali go na Orle.

Pracuje nam się dobrze. Sporo śpiewamy, najczęściej starego Taco, albo *Schodki Maty*, a kiedy jest mało ludzi, często robimy treningi na motorówce.

Michał nie mówi o tym, jak świetnie poradzi sobie, kiedy coś się stanie, ale gdy zdarza się sytuacja, w której inni panikują, po prostu robi to, co trzeba.

A po pracy Michał odwozi nas do centrum Gdańska czarnym citroenem c1 swojej mamy.

Bądź grzeczna, bo pan cię zamknie

Mężczyzna bawi się na piasku z córeczką. Dziewczynka sypie piaskiem i w pewnym momencie kilka razy trafia w leżącą na kocu obok nich parę.

- Nie wolno sypać piaskiem na ludzi.

Dziewczynka nie słucha. Bawi się dalej, a sąsiedzi znów obrywają piaskiem.

Mężczyzna obejmuje córeczkę, pokazuje palcem w moją stronę.

- Widzisz? Tam jest pan ratownik. Jak będziesz niegrzeczna, to pan przyjdzie i cię zamknie.

O ile możemy, w takich sytuacjach reagujemy za każdym razem. Kucam albo przyklękam, żeby być bliżej dziecka, ale też żeby po prostu wyglądać na mniejszego. Staram się uśmiechać

— Cześć jestem ratownikiem. Tatuś żartował, tak naprawdę jestem tu po to, żeby ci pomóc, okej? Gdyby coś się działo, to zawsze możesz do nas przyjść.? No to piąteczka.

Rodzice nie potrafią rozmawiać z dziećmi. To słyhać, zwłaszcza, kiedy są na wakacjach. „Bo tak”, „bo nie”, „daj mi spokój”, „bądź grzeczny”. Nie traktują ich jak dojrzewających ludzi – raczej jak małe, krzyżące stworzonka, które raz na jakiś czas trzeba czymś zająć. Rodzice często nie są w porządku wobec dzieci, a dzieci to widzą i przestają ich słuchać. Dlatego rodzice są sfrustrowani, psują sobie urlopy całymi godzinami próbując uspokoić swoje pociechy. Kiedy słowa przestają działać, trzeba próbować innych sposobów. Lodami, goframi, batonikami, frytkami, kebabami i słodzonymi napojami kupują chwile spokoju od swoich dzieci. To widać. Nad morzem widać, jak źle z nami jest.

Skala otyłości nad polskim morzem jest porażająca. Momentami ciężko jest znaleźć kogoś, komu brzuch nie zasłaniałby stóp. O ile otyli dorośli mnie jakoś specjalnie nie boją, to gdy widzę otyłe dziecko – jest mi zwyczajnie przykro.

Przepraszam, zgubiłem się.

Godzina piętnasta, środek tygodnia. Na plaży całkiem gęsto. Siedzimy z Anią – ratowniczką ze Stogów.

Podchodzi chłopiec – wygląda na pięć lat, na głowie ma żółtą chustkę z Myszką Miki.

- Przepraszam, zgubiłem się – mówi.

Jest tak spokojny, że aż ciężko w to uwierzyć. Nie ma opaski na nadgarstku – one zawsze ułatwiają sprawę

- Cześć, jak masz na imię?
- Mikołaj – odpowiada.
- Dobrze, że do nas przyszedłeś.

- Bawiłem się z tatą i się zgubiłem – przerywa mi.

Podbiega do nas mężczyzna, Mikołaj rozpoznaje tatę, tata bierze go na ręce.

- Szedłem tylko kilka kroków za nim, nie wiem jak to się stało.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy to się dzieje.

Kiedy odchodzą, łapię go za ramię:

- Tak między nami, gratuluję. Mikołaj nie bał się do nas podejść, dzieci rzadko się nie boją.

- Tak go z żoną próbujemy wychować.

Wsi spokojna, wsi wesola

To jedyny raz, kiedy mam okazję być na Świbnie – wysuniętym najdalej na wschód kąpielisku. Na Świbnie nie ma praktycznie nic. Od głównej drogi na plażę idzie się ponad kilometr przez las. Telefony nie mają tu zasięgu, a sygnał z radia właściwie ledwo słychać. Najbardziej ekskluzywną rzeczą na kąpielisku jest ratownicza deska typu Surf z prawdziwego zdarzenia.

Od czego macie motorówkę?

- Orle i Świbno zgłoś do Sobieszewa – odzywa się radio.

- Orle, zgłaszam .

- Świbno, zgłaszam .

- Uciekł nam dmuchaniec, duży, różowy zwierzak. Jest pusty. Jak mnie zrozumieliście?

- Tu Orle, zrozumiałem.

- Świbno też zrozumiało.

Kiedy wieje z południa, morze zazwyczaj jest gładkie i wygląda zupełnie niegroźnie. Ludzie nie wiedzą, że materac, na którym wypłynęli, w ciągu paru chwil znajdzie się kilkaset metrów od brzegu. Właśnie dlatego wymieniamy między sobą komunikaty takie, jak ten. Wiele razy zdarzało się, że do akcji poszukiwawczych angażowano służby z lądu, z wody i z powietrza. Tylko po to, żeby okazało się, że dmuchaniec po prostu był pusty.

A przecież w tym samym momencie w innym miejscu mogło dziać się coś poważnego.

Zdarza się, że kiedy zwiewa komuś dmuchańca, ludzie podchodzą i pytają, czy nie moglibyśmy po niego popłynąć. Mówimy, że jesteśmy w pracy i mamy wyznaczony obszar do pilnowania.

Pewna kobieta odpowiedziała nam kiedyś:

— To od czego do cholery macie tą motorówkę?

Wyglądasz jak kreda

Na Sobieszewie jest „na bogato”. Pracuje tu więcej ratowników niż na Orlu. Przed garażem stoi quad z przyczepą przystosowaną do transportowania poszkodowanych. Mają też dodatkowy kontener z miejscem dla ratownika medycznego. Poza tym, miejsce między kontenerami, a wydumą jest wyłożone sztuczną trawą i ogrodzone drewnianym płotem. Tam ratownicy odpoczywają w przerwach. Raz na jakiś czas muszą tylko upominać ludzi, którzy zamiast skorzystać z toalety chowają się po drugiej stronie płotu, żeby załatwić swoje potrzeby fizjologiczne.

Kiedy siedzimy z medyczną na przerwie w „ogródku” słyszymy przez radio, że coś się dzieje *na piachu*.

Młoda kobieta leży na kocu, trzęsie się, ma atak padaczki. Robimy, co trzeba, w międzyczasie zbierając informacje. Mężczyzna który wezwał pomoc jest partnerem poszkodowanej.

— Jak długo to trwa? – zadaję chyba najważniejsze w tym momencie pytanie.

— Jakies piętnaście minut – mówi.

Natychmiast wzywamy karetkę.

Zespół ratownictwa medycznego przyjeżdża na miejsce po stosunkowo niedługim czasie. Ratownicy medyczni podejmują szybką decyzję, podają relanium. Pierwsze wkłucie w zgięcie ręki jest nieudane, igła spada na ziemię. Drugie wkłucie, w przedramię – też nie wyszło. Druga igła na ziemi. Trzecie wkłucie, w nadgarstek także nieudane. Trzecia jak dwie pierwsze.

Ratownik z karetki przerywa na chwilę.

— Spróbujemy w szyję – mówi.

Trzymam głowę kobiety, która ciągle ma atak. Czuję, że robi mi się słabo i za chwilę mną też będą musieli się musieli zająć. Proszę, żeby ktoś podał mi wodę.

Kinga, ratownicza:

— Wyglądasz jak kreda, zmienię cię, idź na piach.

Niech sobie zostawi na pamiątkę

(Orle, dzień po wydarzeniach z Sobieszewa)

Za kilka minut będzie piętnasta i zejść na przerwę. Podchodzą dwie osoby.

- Tam coś się stało jakimś panu i nie może wstać – mówią. Konkretów brak.

Idę po torbę, radio i ratownika, który miałby mnie zmienić.

Po drodze wypyuję o szczegóły.

— Pan krzywo stanął, nie może chodzić.

Mężczyzna siedzi na piasku i syczy z bólu. Trzyma się za kolano. Pod zgiętą nogą ma poduszkę z dmuchanego materaca, która stabilizuje nogę. Zaczynam pytać. Ktoś ze stojących obok ludzi przerywa mi, mówiąc:

— Zapomnieliśmy powiedzieć, ten pan jest Norwegiem.

Skrawkami angielszczyzny przeplatanej licznymi *fok, fok*, opowiada, że idąc kopnął meduzę, od czego najpewniej wypadła mu rzepka i nie potrafi wyprostować nogi.

Potwierdzam wezwanie quada z Sobieszewa i proszę kogoś z obecnych, żeby zadzwonił na pogotowie, bo w takiej pozycji nie da się przewieźć poszkodowanego do szpitala inaczej, niż w karetce.

Od właścicieli dmuchanej poduszki mężczyzna dostaje także ręcznik, którym przewiązuje się w pasie. Wspólnymi siłami sadzamy mężczyznę na desce ortopedycznej, a potem zabezpieczamy na przyczepce. Pod jego zgiętym kolaniem cały czas znajduje się dmuchana poduszka. Zanim ruszą, kierowca quada obiecuje, że zrobi wszystko, żeby jak najmniej rzucało.

Silnik działa tak głośno, że prawie zagłusza krzyki poszkodowanego.

Jeszcze tego samego dnia ktoś z rodziny Norwega wraca na Orle, oddając nam ręcznik, który przez przypadek wzięli ze sobą do karetki.

Chwilę przed zamknięciem kąpieliska zgłaszają się do nas właściciele ręcznika. Pytają, gdzie jest poduszka. Gdy słyszą, że nie wróciła, śmieją się:

— Niech sobie zostawi na pamiątkę..

Tak mocno, że aż twarz boli

Od rana wiadomo, że przyjdzie burza. Idzie z zachodu, najpierw przez Jelitkowo, potem Brzeźno i Stogi. Po szesnastej jest na Sobieszewie. Czekamy i po cichu liczymy, że nie przyjdzie przed końcem zmiany. O siedemnastej na plaży nie ma już nikogo poza nami.

Wciągamy motorówkę na wózek, a na nią cały sprzęt, który możemy schować. Zostają tylko rzeczy, które są stuprocentowo wodoodporne. W ostatniej chwili we cztery wpychamy wózek z motorówką do garażu. Kilka sekund później widoczność spada do kilkudziesięciu metrów, a wiatr wieje tak mocno, że trzeba opuścić flagę na maszcie.

Siedzimy we cztery w garażu: Artem Starszy, Żenia, Michał i ja. Michał wygląda przez uchylone drzwi. Powoli zbliża się koniec zmiany, musimy schować resztę sprzętu: -W taką pogodę przeciwdeszczowe ubrania przestają być przeciwdeszczowe. Jeżeli wychodzisz na zewnątrz, to godzisz się na to, że deszcz cię zje. Dlatego przestajesz się oszukiwać i wychodzisz w samych kąpielówkach

Wybiegam na zewnątrz, wieje tak mocno, że prawie się przewracam. Deszcz przy takim wietrze przypomina małe kamyki, które uderzają prosto w twarz. Łapię wszystko, co mogę złapać – bojki, koła, liny i wracam do garażu.

Kilka minut później burza przechodzi, na niebie pojawia się tęcza, a my mamy się za największych kretynów na Wyspie Sobieszewskiej.

Gofry z lodami i ślub

(31 sierpnia, ostatni dzień sezonu)

Ostatni dzień sezonu oznacza mnóstwo roboty na plaży. O piętnastej kończymy pracę i zaczynamy składać stanowisko. Michał chodzi z łopatą i wykopuje z piasku słupy oznaczające początek i koniec kąpieliska, później wejdzie na dach kontenera i odkręci antenę transmisyjną. Julia czyści sprzęt. A ja włączę do wody z *pamelką* na plecach i nożykiem do tapet w dłoni. Mam do wyciągnięcia sześć bojek, a to daje sześć lin do przecięcia – każdą jak najbliżej dna. Ucięte liny przywiązuję do *pamelki*.

Zabieramy z kontenera resztę rzeczy, które i tak byłyby do wyrzucenia. Julia bierze ze sobą stare *kleszczolapki*, ja duży karabińczyk, a Michał cały wór chemii do czyszczenia toalet, która przecież nie może się zmarnować.

W międzyczasie grupa mężczyzn zaczyna rozkładać na plaży biały namiot. Na namiocie wieszają godło Polski. Przed namiotem stawiają prowizoryczną mównicę i rozwijają coś na kształt czerwonego dywanu.

Kiedy kilka godzin później, gdy po skończonej pracy, zajadam się gofrem z lodami, owocami i polewą z białej czekolady, na plażę wchodzi para młoda. Oglądamy ich ślub w ubraniach roboczych, dojadając gofry i stojąc z boku. Jesteśmy nieco wzruszeni, ale chyba

bardziej naszym pożegnaniem z morzem, niż ich uroczystością.

Zarząd Kąpielisk Morskich w Gdańsku wprowadził biblioteczki na plaży. Pewnego chłodnego dnia ubrałem się ciepło, wziąłem pod pachę „Dom dzienny, dom nocny” i wypłynąłem w morze. Przywiązałem łódkę do bojki i korzystając z tego, że nikogo poza nami nie było na plaży, przez kilka kolejnych godzin czytałem. Z uwagi na to, że chciałem książkę dokończyć, wziąłem ją tamtego dnia ze sobą.

Obiecuję oddać, gdy tylko nadarzy się ku temu okazja.